

BÁLINT BALASSA

(1551—1594)

PIEŚŃ NA CHWAŁĘ RYCERZY KRESOWYCH

Cóż piękniejszego, rycerze,  
 Na ziemi tej, mówcie szczerze,  
 Niżeli służba kresowa?  
 Tam na kresach w ciepłą wiosnę  
 Śpiewają ptaki radosne,  
 A z niemi ciżba wioskowa.  
 Pole tam cudną ma woń,  
 Niebo srebrzy rosą błoń —  
 I wszystko czarem się snowa.  
 A gdy bojowy grzmi róg,  
 Że oto zbliża się wróg:  
 Duch się w rycerzach wnet pali.  
 Lecz nawet bez rogu wrzawy,  
 Dla rozkoszy, dla zabawy  
 Rycerz sam do boju wali!  
 Łamią wroga nasze miecze,  
 Choć nieraz i nam krew ciecze  
 Z ran — od twardej wroga stali.  
 Drżą chorągwiane szkarłaty,  
 Dzwonią kopije, bułaty:  
 Serce uderza w junakach.  
 Szereg za szeregiem płynie,  
 Hen po dalekiej równinie  
 Pędzą na dzielnych rumakach,  
 W deljach, na lamparcich siodłach,  
 W lśniących hełmach, barwnych godłach,  
 Z pióropuszem na szyszakach.  
 Saraceńskie dzielne konie  
 Skaczą pod nimi przez błonie,  
 Skoro dźwięk trąby zazgrzyta.  
 Jeden rycerz trwa na straży —  
 Drugi z konia zszedł i marzy  
 We śnie, ległszy aż zaświta —  
 Tam, gdzie z losu bitwy mrok  
 Każe mu zatrzymać krok:  
 Wszyscy walczyli dosyta!  
 Ci zaś dla sławy, honoru —  
 Rzucają wszystkie blaski dworu,  
 Zaniechają wszystkich rzeczy.  
 Przykładem są dla ludzkości,  
 Prawdziwy wzór rycerskości

Dają wszystkim: któż zaprzeczy,  
 Gdy — niby lotne sokoły —  
 Mkną przez bojowe rozdoly  
 W grzmocie surm i szczęku mieczy?  
 Gdy ujrzą nieprzyjaciela,  
 Krzykiem pierś ich w niebo strzela —  
 Włóćni wzniesieniem się cieszą;  
 A im trudniejsza jest sprawa,  
 Tem miłsza dla nich zabawa —  
 Że i niewezwani śpieszą.  
 Strumień krwi nieraz się toczy,  
 Gdy tak walczą oczy w oczy  
 Z wrogów zaciekłych złą rzeszą.  
 Szerokich stepów przestwory  
 I ciemne zielone bory —  
 To ich wędrowne namioty.  
 Popasy na obcych drogach,  
 Ogniska w krwawych rozłogach:  
 To junakom szkoła cnoty.  
 W czasie bitwy ostre głody,  
 Znużenie, skwary, brak wody:  
 To ich zabawy, pustoty!  
 Szable ich ostre i dzielne  
 Lśnią jak pochodnie weselne,  
 Gdy ścinają wraży leń;  
 A gdzie się toczył na łanach  
 Bój, tam dziś we krwi i w ranach —  
 W cmentarz zamienił się step.  
 Trupom wicher śpiewa szumny;  
 Sępów jelita — to trumny  
 Zmarłych, bo ptakom to lep.  
 Kresów obrońcy szlachetni,  
 Młodzi wojownicy świetni,  
 O, wici ty, chwały godna!  
 Wszystkim wam wśród ludzkich gminów  
 Cześć za męstwo waszych czynów —  
 Cześć zakwitnie niezawodna.  
 Niech na bitew waszych pola  
 Złota splywa dla was dola,  
 Którą dłoń Boga śle podna!

*Tłum. Antoni Lange.*

## PIOTR PÁZMÁNY

(1570—1637)

## WYJĄTEK Z KAZANIA

...Bóg otacza nas troskliwością iście ojcowską, postępuje miłosiernie z nami, chce nam bowiem obrzydzić znikome dobra ziemskie, abyśmy przez te pokusy nie stracili szczęścia wiekuistego. Nie dopuszcza więc, abyśmy zanadto używali szczęścia doczesnego, ale miesza je nam z goryczą, by tym sposobem oddalić od nas pokusy. Prawdę bowiem pisze Seneka: «Gdybyśmy żyli tylko dla rozkoszy i nicby nam nie uprzytomniało naszego zepsucia, upijalibyśmy się szczęściem ziemskim».

Czy przypatrywaliście się kiedy, co czyni troskliwa matka z niemowlęciem — ukochanem swem dzieckiem? Uważa, że o ile karmi dziecko samym mlekiem i nie odżywia go stałymi pokarmami, to dziecko stanie się słabe, bezsilne, do energicznej pracy niezdolne i prędko zmarnieje. I dlatego też, pomimo iż dziecko lubi tylko słodkie mleko, by uczynić je zdrowem i by miało chęć do życia, używa takich pełnych miłości oszukaństw, iż piersi swoje smaruje gorzkim piółunem lub aloesem. I gdy dziecko weźmie je do ust, by ssać słodkie mleko, gorycz straszliwa je odzwyczai rychło od ssania i zmuszone będzie nawykać do pokarmów stałych, od których wciąż wzmacniać się będzie.

I Bóg nie chce, by jego dzieci wychowywały się w rozkoszach świata, znikome i słabe, gdyż nie jest to odpowiedni pokarm do pracy ku zdobyciu doskonałości duchowej — lecz je przyzwyczajają do twardych, siłę i moc dających pokarmów, aby potem na stare lata pożywiać się mogły niebiańską szczęśliwością, to jest: duchowemi, niebiańskimi i boskimi cnotami.

I dlatego to zaprawia nam Bóg to życie na ziemi gorzką żółcią, niedostatkiem, stratami; nędzą i wielu chorobami doświadcza i przez takie gorycze zapoznaje nas z dobrem doczesnem i obrzydza je nam.

W okresie niemowlęcym długo nie pozostajemy, a i na ziemi niedługo żyjemy: i trzeba nam iść do nieba. Dlatego też powinniśmy przyzwyczajać się do tego, czem się tam odżywiać będziemy, by móc rozkoszować się szczęściem wiecznym. Złudne bowiem są dobra doczesne, jako przynęta na haczyku, na który łapie się wesole rybki, i dopóki rybak nie szarpnie wędką, dobrze im jest, a później dopiero przychodzi rozczarowanie.

Mądrzy ojcowie, pomimo iż na psyty obcych dzieci patrzą z uśmiechem pobłażania i słuchają wesoło ich swawolnego szczebiotu, swoich własnych synów trzymają w karności i zwracają uwagę na ich błąd, choćby najmniejszy. I czy miałby raczej syn tak wychowany skarżyć się, iż jego ojciec mniej go kocha od najemnego? Więcej powiem: gdy jakiś ojciec odda w ręce marnotrawnego syna spadek i pozwoli mu, by swobodnie i wedle woli używał wszelakiego dobra, czy drugi syn ma prawo narzekać, że nie ma takiej swobody, a dobra jego pozostały pod opieką ojca?

W obozie podczas najstraszniejszej burzy żołnierz ranny z obwiązaną głową stoi na warcie i czuwa — on, bohaterski rycerz! — a trulnie pasibrzuchy odpoczywają wtedy, śpią spokojnie po miastach. Panowie radni trudzą się, pracują w pocie czoła, gdy tyczasem hulaki i oczajdusze piją po karczmach i bawią się rozpustnie...

*Tłum. Z. Nanassy-Grużewska.*

## MIKOŁAJ ZRINYI

(1620—1664)

## Z «NIEBEZPIECZEŃSTWA SZIGETSKIEGO»

(«Zrinyiady»)

Deli Vid nieraz walczył z bisurmany,  
Lecz go śmiertelne nie trafiały rany.  
Śmierć niejednego wkoło w cień swój pędzi,  
Jego nie może znaleźć, mija, szczędzi.

Tak krąży między Turczynów tysiędem.  
Wielu go znało, wždy jakimś rażącym  
Światłem źrenice Pan Bóg im zamroczył,  
Że obcym sądzą go ośleple oczy.

Lecz mu wyrocza też bije godzina.  
Ha, czy się przedza jego dni przecina?  
Chce teraz, pełen rycerskiej ochoty,  
Pomiędzy Turków dostać się namioty.

Taką drga żądzą to nieustraszone  
Serce. — Lecz Deli Vid ma piękną żonę.  
Rzadko się iście zdarzy tak niezmierna  
Piękność — a przytem niewiasta tak wierna.

Turczynką była z rodu. Vid przemocą  
Z łun bitwy porwał ją gdzieś kiedyś nocą.  
Haissą była za tureckiej wiary,

A po chrzcie świętym imię ma Barbary.

O drogim mężu ciągle myśli trwoźnie,  
Łzami zalewa swej pościeli próżnię.

Lecz duch rycerski jej serce rozpała:  
Niedługo w skargach i łzach się użala!

Wielka do męża tęskność ją rozpiera:  
Więc kruche ciało w twardy spiż ubiera;  
Toż miecz u boku przypasze mężowski,  
Zasloną główkę okrywa i włoski.

Ramię oparłszy na mocnym oszczepie,  
Dziarsko na tęgim zasiądzie parepie.  
Mknie w obóz. Szata na niej jest turecka,  
Mowę zaś Turków dobrze zna od dziecka.

Obiega wkoło. Czujny wzrok wyteża  
I w każdym kącie szuka swego męża.  
Aż w innej stronie, opodal od środka,  
Maura-olbrzymą na koniu napotka.

Próżno koń cwałem chciałby nieść olbrzymą,  
Gdyż jego ciężar ledwo że wytrzyma.  
Widząc ten pośpiech, żona Deli Vida  
Myśli: Wybadać go może się przyda!

Rzecz do niego: «Wstrzymaj klusy ręce —  
Dokąd i jaką wieść ty niesiesz, gończe?»  
«Nie chciej mię swoją ciekawością dręczyć.  
Cesarz mi pewnie zechce się odwdziaczyć,

Bowiem mu wielką nowinę przynoszę.  
Więc nie zatrzymuj mię na drodze, proszę».  
«Wierz mi, żalować ty nie będziesz. Dary  
Zyskasz, a żadnej nie lękaj się kary».

I zwolna wszystko rzecz Maur zdradziecki:  
«Vid tu w pobliżu śpi w szacie tureckiej».  
Ledwie poganin imię Vida powie,  
Myśli w kobiecej zakotłują głowie.

Trwoźna, że Maur swoją wieść wygada,  
Rzuci się, w trzech go podskokach dopada,  
Oszczepem z siodła strąci go daleko,  
Głowę odrąbie, aż krew plynie rzeką —

I znowu skoczy na dzielnego konia.  
Lecz już ją ściga turecka pogonia,  
Słyszy za sobą krzyk dziki i srogi.  
Ach, niedość szybkie są jej konia nogi.

Jakiś potężny cios pogańskiej ręki  
Z konia na piasek ją obali miękki.  
«Kto jesteś?» — krzyczą do niej całą zgrają —  
«Czemu zabiłaś Maura?» — tak pytają.  
W jakimż ma biedna rzecz wyjaśnić słowie?  
«Jest z Alkairu — tak im wreszcie powie; —  
Ten Maur niegdyś brata mego zabił.  
Zemstę przysięgam. Dziś mi los go zwabił».

Szybko znalazła wśród tłumu obrońce,  
Wszystkich zwycięża jej piękności słońce.  
Ten mówi: Słusznie. Ów przed sędzię wzywa.  
Ten był w pobliżu zgielku. Z snu się zrywa.

Na Karabula szybko biega wsiada  
I wprost tam jedzie, gdzie wrzeszczy gromada.  
Gdy bliżej stanie, widzi: żona droga!  
Słyszy: żałośnie skarży się nieboga.

Mało mu serce od grozy nie pęknie,  
Lecz zdala woła już mądrze i pięknie:  
«Stójcie! niewolnik to mój, dzielne mężo,  
Który mi konia ukradł i oręże!

Szukam go wszędy w obozowym gwarze,  
Dajcie mi w ręce go — ja go ukarzę!  
Tymczasem przybył na to jeden kady.  
«Dowody na to muszą być i zwiady.

Niechaj przed sędzią zjawi się, człowiecze,  
A ten istotę twoich praw orzecze!»  
Deli Vid krzyknie, gniewem zapalony:  
«Ha, psy pogańskie! cóż mi sąd wasz płony?

W szabli me prawo. Jej niechaj świat słucha!  
To rzekłszy, wali przez szyję Malkucha.  
Ginie Izmael, z nim razem Ahuba.  
Głowa każdego odpada z kadłuba.

Piersią Abazy ulatuje dusza,  
Padł Jankul martwy i okiem nie rusza.  
Ale Ejuza jeszcze dłoń zuchwała  
Trzyma kobietę. Vid go tnie wpół ciała.

Chwyta kochankę — sadza na deresza —  
Pościg rwie za nim — on jak wiatr pośpiesza.  
A jak na wodzie nie znać śladu ptaka,  
Jak miga w oku grot, rzucon z sajda, —

Tak-ci Karabul przejdzie morskie fale,  
Kropki zaś na nim nie obaczysz cale.  
Gdy widzą Turcy, jak z piękną kobietą  
Rycerz galopem pędzi do Sziget, —

Poznali Vida. Ten — ów za nim gna,  
Ale im zniknął jako senna mgła.  
Radośnie przyjął rycerza w Szigecie  
Zrinyi, bo sądził go na tamtym świecie.

Co zaś w obozie u Turków się czyni,  
Vid wszystko prawi — i słucha go Zrinyi.

*Tłum. Antoni Lange.*

## ALEKSANDER KISFALUDY

(1772—1844)

## Z «PIEŚNI HIMFYEGO»

## Nieszczęśliwa miłość

Jako jeleń chyży, rączy,  
 Ugodzony z strzelca ręki,  
 Chce uciekać — rana sączy,  
 I nie widzi końca męki:  
 Tak ja przed nią uciec chciałem,  
 Gdy mnie ócz swych rani strzałą,  
 Lecz już czarów jej doznałem,  
 Już ból szarpał pierś mą całą.  
 Chęć ucieczki była szczerą,  
 Lecz żar pali, jad się wżera;  
 Biadaż tobie, serce chore,  
 Nie uniknąć mąk ci wporę!

Barwny ptaku! Zazdrość bierze,  
 Jak twój cudny śpiew zachwyca.  
 Bezrozumny! Nucisz szczerze,  
 I wtóruje ci samica.  
 W moich żyłach krew wiruje,  
 Gdy Amora moc opiewam,

Lecz tych pieśni nie odczuje  
 Nikt, choć myśl prócz czucia wlewam!  
 W twym się śpiewie rozkosz mieści,  
 Gdy ja tylko znam boleści.  
 Chętnie dam ci, ptaku mały,  
 Za twe szczęście rozum cały!

Sarna pędzi przelękniona,  
 Gdy ją ruszą zle ogary,  
 I trwożliwie sunie ona,  
 Gdzie parowy i gdzie jary.  
 Przed Amorem skryć się siłę,  
 Lecz on dziki, ach! i srogi,  
 Nie chce puścić mnie na chwilę,  
 Wszystkie mi zabiera drogi!  
 Czyż ofiary swej nie zmienia?  
 On jak ryś jest, bez wytchnienia  
 Gryzie zdobycz nieszczęśliwą,  
 Gdy ją puści — to nieżywał!

## Szczęśliwa miłość

W inne barwy świat się zmienia,  
 Inny pieśni mojej wtór,  
 Inne losu są zrządzenia,  
 Gdyż me niebo jest bez chmur;  
 Inne życie dziś się snuje,  
 Obcy dla mnie trosk jest zgrzyt,  
 Siły bogów w sobie czuję,  
 Cenię teraz ziemski byt!  
 Nowy wokół świat rozslany,  
 Ach! bo kocham ja — kochany,  
 I czas inne ma godziny,  
 Gdym już posiadm skarb jedyny.

Wszystko teraz ku niej dąży,  
 Co myśl moją wprawia w ruch,  
 I krew w żyłach żwawiej krąży,  
 Ku niej wznosi się mój duch.  
 Myślę, jak i ona myśli,  
 Z czem jej dobrze, dobrze mnie,  
 Czy los szczęście nam zakreśli,  
 Czy nieszczęście na nas śle.  
 Więc czy radość pierś rozpiera,  
 Czy boleści czara wzbiera,  
 Wśród wywezasu i wśród znoju  
 Czerpię w sercu jej, jak w zdroju.

Tłum. M. D.

## FRANCISZEK KÖLCSEY

(1790—1838)

## PIEŚŃ ZRINYIEGO

Gdzie jest owa ojczyzna, w której krew Arpada,  
 Śród wiecznych bojów wrząc, zwycięsko mieczem włada?  
 A której imię taki żar miłości pali,  
 Że za błądzącym synem swym idzie w pogonie —  
 I nawet go przebudzi na Kalipsy łonie,  
 Aż-ci ku tobie ramię wyciąga z oddali.

Tu jest owa ojczyzna — inna niżli dawna.  
 Pustynią zda się teraz owa ziemia sławna —  
 Zardzewiał porzucony krwawy miecz zwycięski,  
 Ogień wielkiej miłości zgasł w duszy jej synów,  
 Zamarła w nich żądza bohaterskich czynów:  
 Serca zlodowaciały w jakiś sen niemęski.  
 Gdzie jest wzgórze, na którym stał gród niezdobyty,  
 Którego szaniców bronił Szondi znamienity,  
 Rozrzutnie ofiarując życie swe niezłomne:  
 Sława jego wciąż rośnie — rzekłbyś, w jego twarzy  
 Ogień wciąż potężniejszym płomieniem się żarzy  
 I rzuca swoje blaski na wieki potomne.

Tu jest wzgórze, gdzie dzisiaj jeno masz ruiny,  
 Gdzie pogrzebion bohater oraz jego czyny.  
 Zapomniany grób jego — popioły — i sława...  
 A wokół pokolenie nędzne — biada, biada!  
 Czasem, gdy widzi orle gniazdo swego dziada,  
 Zawrotu głowy jeno na ten zwid dostawa.

Gdzie ów naród, co niegdyś umiał krwią i potem  
 Wyorać bohaterstwa łup — i orlim lotem  
 Kroczyć w ślady praojców przez ciąg lat tysiąca?  
 A choć cierpiał, uparcie szedł w bój nieustanny!  
 Pięknie mu lśniła młodość, jak w zorzy porannej,  
 Młodość dzisiaj i wczoraj, i jutro kwitnąca.

Stój, wędrowcze! Ten naród dzisiaj — to bastardy.  
 Niemasz wymarłej rasy — niezwalczonej, hardej!  
 Słaba głowa, mdłe serce i bezsilne ręce —  
 Oto liche dzisiejsze pokolenie młode.  
 Naród, co krwią swą umiał zdobywać nagrodę,  
 Jest dziś jeno z imienia — i niemasz go więcej!

*Tłum. Antoni Lange.*

Z «HYMNU»

Ubłogosław, Panie nasz,  
 Pełnią łask Madziara,  
 Broń, gdy nieprzyjaciół złość  
 Zgubić go się stara!  
 Obdarz go za tyle klęsk  
 Jasnych dni promieniem —  
 Przyszłe szczęście spłacił już  
 Długich lat cierpieniem.

Ojców naszych w zmierzchły czas  
 Wiodłeś przez Karpaty,  
 I ojczyznę stał się nam  
 Wielki kraj bogaty.  
 Gdzie Dunaju, Cisy nurt  
 Toczy się błękitnie,  
 Wszędzie nad brzegami szczep  
 Arpadowy kwitnie. — — —

*Tłum. Alfred Tom.*

KAROL KISFALUDY

(1788—1830)

PERŁA

Jest jedna perła na ziemi —  
 Skarb wielki naszej istoty:  
 Barwami zdobi cudnemi  
 Ziemskiego szczęścia blask złoty.

W zwierciadle perły tej drżącym  
 Odbicie swe widzą dusze:  
 Ono radości nas słońcem  
 Darzy za wzięte katusze.

Lecz wśród salonów złoconych  
 Nie zalśni perła ta rzewna:  
 W bogaczy sercach skażonych  
 Nie tkwi ta niebios królowna.

Ci tylko, którzy boleją,  
 Znają to słodkie zjawisko;  
 Tym, co się z uczuć nie śmieją,  
 Tęskliwa bladeść jej błyska.

Nieraz mym druhom, gdy cierpię,  
 Prawię cierpień swych powieści —  
 I łza mi z oka się czerpie...  
 Ach! w niej ta perła się mieści.

#### POSTANOWIENIE

Dokonaj, losie, twoich ciosów miary  
 I w życie moje wszystkie zlej trucizny,  
 Odbierz, czemś ludził, odbierz wszystkie mary  
 Z dni mej młodości, w sny złocone żywej.  
 Com tylko kochał, wszystko weź co prędzej,  
 Prowadź na nową, pełną cierni drogę,  
 Drogę najwyższej na tej ziemi nędzy —  
 Złam mię doreszty: więcej wziąć nie mogę!

Ja się nie lękam, że mi los co zdarzy,  
 Siłę mą tylko podnoszą katusze,  
 Niech nad mem sercem ciężki ból zaważy  
 I spotęguje moją słabą duszę.  
 Choć twoje ciągle krwawe uderzenia  
 Tak mi wydarły wszystko bezlitośnie,  
 Choć wszystko dotąd we lzy mi się zmienia:  
 Moc mego ducha przez twe ciosy rośnie.

Jedną kochałem precudną istotę,  
 W jej sercu wszystkie złożyłem nadzieje,  
 I nieraz duszy jej promienie złote  
 Niosły mnie w niebo, gdzie słońce jaśnieje.  
 Błogosławiona! w tę słodką godzinę  
 Tyś rozrywała moich cierpień pęta,  
 Wskazując w róże usłaną ścieżynę...  
 A dziś! usnęłaś, kosą śmierci ścięta.

I coż mi przyszłość dać, co mi wziąć może?  
 Ku jakiejż losy popchną mię krainie?  
 Z serca, dartego przez cierpienia noże,  
 Postanowienie, boży ogień płynie.  
 Od ciebie tylko czekam ja spokoju;  
 Gdy wszystko wichur mi porywa lotny.  
 Nie znam, choć lękam się żywota boju...  
 Cóż pocznę? pójdę w świat zawsze samotny!

*Tłum. Antoni Lange.*

#### MICHAŁ VÖRÖSMARTY

(1800—1855)

#### Z «UCIECZKI ZALÁNA»

Chwała nasza pradawna, w jakim ukryłaś się mroku?  
 Przeminięły stulecia — i w głębi tej nocy zagasły  
 Blaski twe. Idziesz samotna. Mroczne obłoki nad tobą.  
 Zapomniana, zwioteczała, chwiejąc się, idziesz bez wieńca.  
 Gdzież ten, co ci wojennym śpiewem przywróciłby chrobą  
 Postać, w słowach potężnych wybuchłszy nad twoim upadkiem,  
 I po wielu stuleciach ukazałby znów ci przywódcę  
 W skórze lamparciej Arpada — i groźną potęgę narodu?

Gdzie on? Nieme tysiące błędzą dokoła jak senne,  
 Serce ich tętnić przestało — i drzemie sława odwieczna.  
 Nadszedł niemocy wiek, a zniewieściałe potomstwo  
 Światem dziś rządzi i cnoty pobożnych wyszydza pradziadów.  
 Mnie też w dniach ciszy sennej roily się miękkie rozkosze:  
 Wnuk zapóźniony rycerzy — przemijające ściągalem  
 Wdzięki niewieście, ich mocą oczarowany bezmyślnie.  
 Ku nim ma pieśń kierowała swoje radości i skargi,  
 Próżno-m chciał niebo ubłagać o łaskę tych czarów zwodniczych.  
 Przecie, gdy dni hałaśliwe młodości szalonej minęły,  
 Nową siłę odczułem: jęły orzeźwiać mi duszę  
 Piękne widziadła, pojawy rycerskie minionych stuleci:  
 Ūgo i piękny Almosz, i dumny ów syn Almoszowy,  
 Arpad w skórze lamparciej. Czy ty mnie słyszysz, ojczyzno?  
 Wy, co się rwiecie ku szczytom, wy, zdolni do czynu i czynu  
 Żadni, synowie tej ziemi — czy wy słyszycie me słowa?  
 Noc nadchodzi — czernieją szczyty pochmurne — uciła  
 Wrzawa życia — świat cały na sennej spoczywa pościeli.  
 Lecz ja nie śpię: w mej duszy czarowne wirują obrazy  
 Wieków zamierzchłych: kopije błyszczące i miecze stalowe  
 Rozcinają powietrze; wojna dokoła grzmi, błyska —  
 Widzę, jak suną przez stępy burkami okryci rycerze —  
 Mkną na koniach galopem, aby zwyciężyć lub zginąć.  
 Widzę chorągiew twą, Bulcsu, — i lza mi z żrenicy wytryska.

*Tłum. Antoni Lange.*

#### WYGNANIEC

Któż jesteś, powiedz, nieszczęśliwy,  
 Co smutny ciągniesz w obce niwy,  
 Gdzie nie brzmi szczęścia głos?  
 W żalobną szatę przyodziany  
 I biczem przekleństw osmagany,  
 Przecz nęka ciebie los?

«O! pozwól wlec wędrówkę dalej,  
 Niech nawalnica we mnie wali  
 Na polach tych, gdzie noc!  
 Bo w mojem sercu większe ciemnie  
 I większa burza huczy we mnie,  
 Mój ból ma większą moc!»

Może więc losu chce zrządzenie,  
 Żeś stracił całe swoje mienie  
 I bieda ciebie gniew?  
 «Byłem zamożny ja przed laty,  
 Dziś większej nad majątek strąty  
 Ból moje serce żre!»

Może cię serca piecze rana,  
 Zdradził przyjaciel? Ukochana  
 Zerwała dawny ślub?  
 «Nie znam ja zdrady z piekieł łona,  
 Ani mię zdradził on, ni ona,  
 Wierni mi poszli w grób!»

Umarli! — Może lza więc płynie  
 Po żonie, dziecku lub rodzinie,  
 Co w cichym grobie śpi?  
 «Ci, których ja kochałem szczerze,  
 Poszli już dawno w śmierci leże  
 I po nich zaschły lzy!»

O, przemów, bracie, przemów, zali  
 Piętno cię hańby może pali,  
 Twe imię kryje srom?  
 «Tak! co najbliższe, to w niesławie,  
 I na wspomnienie serce krwawię,  
 W hańbie mój kraj, mój dom!»

Tyś zniesławiony, tyś wygnany,  
 Tyś walczył za swój kraj kochany  
 I trosk zaznałeś wbród?  
 «Mnie, wygnanemu, jeszcze świeci  
 Nadzieja, co się w blaski różni,  
 Bo jeszcze żyw mój lud;

«Kraj mój, ukochan duszą całą,  
 Umarł — i nic już nie zostało,  
 Wesela niema tam;  
 Końca boleści nie dożyję,  
 Ja grób narodu w sercu kryję,  
 Za miljon cierpię — sam!»

*Tłum. M. D.*

## WEZWANIE

O, Węgrze! niech na wierność twą  
Ojczyzna zda się miła!  
Twój pierwszy i ostatni druh —  
Kołyaska i mogiła.

Zresztą na świecie niemasz tym  
Innego miejsca pono...  
Życ i umierać musisz tu,  
Cokolwiek ci sądzono!

To ziemia, którą nieraz krew  
Twych ojców zlała wrząca;  
To ziemia, co potężna jest  
Dziejami lat tysiąca.

Arpad-bohater walczył cny  
Tu za ojczyznę miłą,  
Hunjada krzepkie ramię tu  
Niewoli moc skruszyło!

Podobnaż, by duchowych sił  
Aż tyle szło na marne,  
Jako że wiecznem skrzydła ich  
Przekleństwem są ciężarne?

Więc przyjdzie... a więc musi przyjść  
Świellany dzień, o który  
W modłach tysiące mnogie serc  
Unoszą się w lazury.

A jeśli nie, to musi przyjść  
Wyniosły zgon i prawy,  
I w ziemi głąb ojczyzny trup  
W powodzi runie krwawej!

Wolności! święty sztandar twój  
Ta dłoń dźwignęła męska...  
Pod nim najlepszych synów twych  
Tu krwawa zmogła kłęska.

Po zwianiu snów, przez losów złych  
Burzliwe mknąc odmęty,  
Żyw jeszcze naród w kraju tym,  
Znękany, lecz nie zgięty.

Grzmi kraju i narodu wraz  
W niedoli skarga wrząca...  
Błaga o życie lub o śmierć  
Katusza lat tysiąca.

Toż z męskich piersi nie na żart  
Krwi tyle toczy męka!  
Tyle węgierskich wiernych serc  
Toż nie napróżno pęka!

Narody wieńcem stają w krąg  
Tu przy wolności grobie!  
Z ludzkości oczu gorzka łza  
W serdecznej łśni żalobie!

W wiernej miłości, Węgrze, miej  
Ojczyznę twą jedyną,  
Co żywi cię — a gdybyś legł,  
Pokryje cię darniną.

Zresztą na świecie niemasz tym  
Innego miejsca pono...  
Życ i umierać musisz tu,  
Cokolwiek ci sądzono!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## ALEKSANDER PETŐFI

(1823—1849)

## MÓJ PEGAZ

Pegazem moim nie angielski koń,  
Wysmukły, wiotki, z szcudłowemi nogi;  
Nie moim stępak meklemburskich błon,  
Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,  
Węgierski rumak, krwi madziarskiej czystej;  
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok  
W zwierciadle jego szerści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół,  
Jak konie stadnin i zawodów pańskich;  
Wzrósł bez wędzidla, karmią stępnymi ziół,  
Jam go na piaskach schwytał kizskumańskich.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,  
 Lecz tyłkom prostą okrył go derzycą;  
 A gdy go dosiadł, wlot się puścił wnet,  
 O! bo mój kary — krewny z błyskawicą!  
 Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step,  
 Bo tam wzrósł dzielny, bo tam był zrodzony;  
 Gdy w pusztę zmierzam, w górę wznosi łeb,  
 Rży, kopie, parska, wietrząc łąn zielony.  
 Gdy dom napotkam wpośród pól i łąk,  
 A przed nim dziewcząt jako pszczołek roje,  
 To biorę kwiatek z najpiękniejszych rąk  
 I jako wichur pędzę w stepy moje.  
 A w tym polocie na rumaku mym,  
 Coby w świat inny na mój głos mknął cwałem,  
 Łśni piana, para bucha zeń jak dym,  
 Lecz nie znużeniem kipi on: — zapaleń!  
 O! nie tak prędko trud go zwali z nóg,  
 I nie tak prędko zechce on wytchnienia;  
 Bo wiele jeszcze przebyć musi dróg,  
 Nim dotrę granic mojego życzenia,  
 Więc pędź, Pegazie, koniu drogi, pędź!  
 Przez skały, rowy, naprzód! dalej, dłużej!  
 Aż tam, gdzie wszelka kończy się już chęć,  
 Pędź, mój Pegazie, pędź na skrzydłach burzy!

*Tłum. Władysław Sabowski.*

#### Z ODDALI

Nad Dunajem wielkim chatka stała —  
 Och, jak droga mi ta chatka mała!  
 Łzy zachodzą oczu mych powieki,  
 Kiedy wspomnę obraz jej daleki.

Lecz nadziei zorza w sercu młodem  
 Przyszłość rajskim maluje ogrodem;  
 Dopiero, gdy się błakania zaczną,  
 Postrzegamy omyłkę rozpaczną.

Obym był w niej został wszystkie lata!  
 Ale ludzi wiedzie chęć skrzydłata;  
 Chęć się moja podniosła sokołem,  
 I rzuciłem dom i matkę połem.

Opowiadać byłoby daremnie,  
 Że nadzieja zadrwiła i ze mnie,  
 I że odkąd wędruję po ziemi,  
 Ciernie depcę stopami błędnymi.

Ból żęł ogniem matkę zrozpaczoną,  
 Gdy, odchodząc, padłem na jej łono,  
 I nie zgasły bolesne płomienie,  
 Choć je zwały zimnych łez strumienie.

...Idzie ziomek mój w ojczyste progi,  
 Mam i wieści przesłać małce drogiej?  
 A zajdźcie też, laskawy sąsiedzie,  
 Jeśli droga pod jej dom powiedzie.

Przycisnęły mię ramiona drżące,  
 Wstrzymywały słowa błagające —  
 Och, gdybym był mógł świat przejrzeć cały,  
 Możeby niedarło wstrzymywały...

Powiadajcie, niechaj łez poniecha,  
 Bo synowi szczęście się uśmiecha...  
 Ach, nie mówcie, w jakiej żyję trwodze,  
 Serce z żalu pękłoby niebodze.

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

#### SZLACHCIC WĘGIERSKI

Spuścizna przodków, świadek chwały,  
 Oto miecz wisi zardzewiały.  
 Blask jego rdza wnet całkiem zmiecie —  
 Węgierski szlachcic jestem przecie.

Spoczynek życie nam ozlaca;  
 Żyję, bo nie wiem, co to praca.  
 Robota niechaj chłopstwo gniecie! —  
 Węgierski szlachcic jestem przecie.

Czy mam się wiedzy oddać może  
I będę klepać, jak niebożę?  
Bym czytał, pisał, żądać śmiecie? —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Istnieje wiedzy gałąź główna,  
W której snadź nikt mi nie dorówna:  
Jem, piję, jak nikt drugi w świecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Szczęście, zem wolny od podatku;  
Za skąpe dobra me po dziadku,  
A długi w całym mam powiecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Nic nie obchodzi mnie ojczyzna...  
No, i mam rację, każdy przyzna.  
Nie lubię, gdy kto o niej plecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

A kiedy wkońcu, jak me przodki,  
Przebirbantuję żywot słodki:  
Z pewnością w niebie mnie znajdziecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

*Tłum. Stanisław Rossowski.*

#### NA DUNAJU

O, rzeko, jakże często tve spokojne lica  
Rozdziera dno okrętu, wichrów nawalnica!  
I żłobi takie długie i głębokie rany,  
Jak nigdy w sercu ludzkim lasów huragany.  
A przecież kiedy burza albo okręt minie,  
Wnet się rana zabliznia na wód twych głębinie.  
O! czemuż, gdy tve serce zrani ból, człowieku,  
Na rany zagojenie nie posiadasz leku?

*Tłum. Erazm Krzyszkowski.*

#### WĘDROWNY PTAK ODLATA...

Wędrownny ptak odlata  
Z końcem lata,  
Jesienią  
(Wróci, gdy się grudnie w maj odmienia).  
Wdal... wdal... wdal... skrzydła niosą:  
Już go oczyma oddales niebiosom,  
Już się zanurzył w błękiecie,  
Już zniknął w przestworze.  
Przecierasz oczy — śnił się może?  
Niż to ptaszę,  
Odlataż co jeszcze prędzej?... Życie nasze!  
Ale ptak wróci, nigdy nie wróci życie.

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

#### LEDWO BYŁ RANEK...

Ledwo był ranek, a już jest wieczór,  
Ledwo była wiosna, już zimowy czas;  
Ledwom cię ujrział, słodką dziewczeczkę,  
Już — żono luba! — jesteś ze mną wraz.

Ledwo na ojca siadalim kolanach,  
Już z praszczurami leżymy na dnie, —  
Życie podobne jest ceniom obłocznym,  
Jest jako tchnienie na zwierciadła szkle.

#### OGIEŃ

Ja nie chcę, jak lodyga wierzby,  
Zgnić nędznie gdzieś w cuchnącem bagnie.  
Jak dąb, w zesłanym mi od Boga  
Błyskawic ogniu splonąć pragnę!

Potrzeba ognia mi! Niech w wodzie  
Ród żab i ryb się dobrze czuje —  
I poeciątek cech, co żwawo  
Na żabią modłę muzykuje.

Tys dla mnie jest — i ciebie, ogniu,  
Za żywioł swój ja wybrać muszę!  
Obficie marzę w krótkim życiu,  
Lecz ciepłą zachowałem duszę.

Namiętnie kocham cię, dziewczyno!  
Daj patrzeć w ócz twych gwiazdy obie!  
Lecz bądź ognista! Bo inaczej —  
Dalibóg, możesz odejść sobie.

Hej, gospodarzu, daj mi wina,  
Lecz z prawdziwego winogradu!  
Bo jeśli trunek dasz wodnisty,  
Źle będzie z twym czerepem, dziadu!

Ogniste wino i dziewczoja  
Na ziemi jeno żyć są warte.  
I jeszcze trzecia rzecz — to pieśni  
Nie mogą z życia być wydarte!

Pieśń zaśpiewajcie, lecz ognistą!  
Niech w krtani ton bezsilnie skona  
Każdemu, kto nie zdoła śpiewać  
Tak, iżby się zatrząsły łona!

Ja nie chcę, jak łodyga wierzby,  
Zgnić nędznie gdzieś w cuchnącem bagnie.  
Jak dąb, w zesłanym mi od Boga  
Błyskawic ogniu splonąć pragnę!

*Tłum. Alfred Tom.*

### PIEŚŃ JUNAKA

Mój duch śni wciąż o krwawych dniach,  
Gdy stary świat zapadnie w zgłiszczą,  
A na tych gruzach nowy gmach  
I nowych staną dni bożyszczą.

Niech zabrzmia już, niech zabrzmia już  
Bojowych trąb rozgłośnie tony:  
Wojennych burz, wojennych burz  
Pożąda duch mój, krwi spragniony.

Z radością skoczyłbym na grzbiet,  
Na grzbiet bystrego mego konia —  
W szeregu męźnych byłbym szedł,  
Jak wichler, przez skrwawione błonia.

Gdyby w pierś moją trafił strzał,  
Znajdzie się ktoś, co ją otuli,  
Znajdzie się ktoś, co będzie miał  
Całunków balsam przeciw kuli.

W kajdany wraże gdybym wpadł,  
Odwiedzi ktoś mej celi ciemnie,  
Ponurych snów mych czarny świat  
Rozproszy jego wzrok tajemnie.

A gdybym zmarł, a gdybym zmarł  
Pod mieczem kata czy wśród bitwy,  
Znajdzie się ktoś, co wnetby start  
Krew białych zwłok mych — lżą modlitwy.

*Tłum. Antoni Lange.*

### MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ

Miłość! wolność!... W dni moich rozkwicie  
Duch mój z niemi w ścisłą wszedł zażyłość:  
Za mą miłość dam w zamianie  
Życie,  
Za wolności odzyskanie —  
Miłość!

*Tłum. Władysław Sabowski.*

### DRĘCZY MIĘ TA MYŚL JEDYNA...

Dręczy mię ta myśl jedyna:  
Umrzeć w łożu, na pierzynach!  
Uschnąć powoli, jak kwiat usycha,  
Zatrutym czerwem toczony zcicha;  
Powoli zgorzeć w sobie do końca,  
Jak świeca, w pustej izbie stojąca.  
Nie o śmierć taką, o Boże w niebie,  
Nie o śmierć taką chcę błagać Ciebie!  
Drzewem chcę być, które piorun przesywa  
Albo huragan z korzenia wyrывa;

Skalą chcę być, która ze szczytów spada,  
 Gdy niebo z ziemią od burz drżą w posadach...  
 W czas, gdy każdy niewolny lud,  
 Jarzmu niewierny, ruszy w hój,  
 Płoną oblicza i płoną sztandary,  
 A na sztandarach hasło świętej wiary:  
 «Wolność powszechna!»  
 I grzmiące echa  
 Odegrzmia, niosąc święte hasło w krąg,  
 I wezwiem tyranję na krwawy sąd:  
 Tam, na bitwy polu,  
 Niechaj padnę w boju,  
 Tam niechaj pierś moja krwią spłynie młodzieńczą,  
 Z ust słowa ostatnie radośnie zadźwięczą,  
 I wraz białej broni niech zdławi je szczeń,  
 I trąby zahuczą, i dział głuchy jęk,  
 A nad mem ciałem  
 Niech stadem całym  
 Rwą z kopyta rumaki, po zwycięstwo pędzące,  
 Niech tam zatratowany leżę na łące.  
 Tam niech me szczątki zbiorą rozsypane,  
 Kiedy pogrzebu wielki dzień nastanie,  
 Pienia żałobne zabrzmia zwolna wkoło,  
 Chorągwie schylą w kir spowite czolo,  
 Wspólny grób przyjmie bohaterów kości  
 Poległych dla cię, o święta wolności!

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

JAN ARANY

(1817—1882)

Z «TOLDIEGO»

(Toldi — półbajeczny bohater węgierski — wywalczył na turnieju Różankę dla innego, Wawrzyńca Tara, ale sam ją pokochał, jak i ona jego; Wawrzyniec o tem nie wie i zaprasza Toldiego do siebie na uczyłę.)

. . . . .  
 Raz tylko jeden ujrzeć (choć co to nada?)  
 Różankę swoją — dziś już cudzą — biada, biada!  
 Chłodno się z nią pożegnać? — i tego nie mogę.  
 Nie iść tam? (niemo westchnął) — ruszyć w inną drogę!  
 Krew zagasić — jak gołąb stać się — jako jagnię!  
 Tej jednej chwili ceną — wieczne pożegnanie!  
 Gorzko będzie — lecz niech tak będzie — tego pragnie.  
 Tak wahał się bohater — lecz nęcą otchłanie.

Różanki serce także dręczyły w tym względzie  
 Przechwalki męża: co za gość u nich dziś będzie!  
 Wybladłe usta przeczyć chciałyby, lecz mowa  
 Zamiera; trudno ująć Różance rzecz w słowa.  
 Cały dzień Boga o to prosiła jedynie,  
 Żeby Toldi nie przyszedł (dalże obietnicę),  
 Cały dzień w sercu tajnie jedna myśl się winie:  
 Że gdy nie przyjdzie, w sercu pękna jej tętnice.

To jedyne spojrzenie — owo pierwsze słodkie —  
 Przenikające, smutne, lecz rozkosznie wiotkie —  
 Wymówkami żalosne, rzesą lopocące,  
 Milczące, pytające, odpowiadające —

Wzbronione! Lecz w niem boskie prawo dumą wzrusza.  
Przekleństwo w niem i niebo oraz piekiel cienie  
I rozpacz, gdzie zatracą się ciało i dusza:  
Całą uczucia głębię stwierdza to spojrzenie.

Mieli czas, by odzyskać z wolną równowagę.

Rozmowa: wszystkie słowa obwiną w rozważę.  
«Pogoda — urodzaje — bitwy — łowy — konie...»  
Maska twarzy osłania, co wre pod tem w łonie.  
Lecz serce Mikołaja wicherzy się otchłanią.  
Przy uczcie od gorącej krwi — miłości — wina —  
Pije za młodą parę, jak może pić za nią,  
I cóż mu, że Wawrzyniec rozumieć zaczyna!

Gdy zaś piękna niewiasta wzięła w ręce kielich

I zwilży w ogniu wina czar ustek anielich —  
Zapomniał niemal o tem, co bezdennie boli,  
Oddając się rozkoszom chwili mimowoli.

Biesiadnicy wciąż raźniej unoszą się duchem —

Aż leśne przyniesiono warchlę na półmisku.

Jak żywe, zda się: leży wdół oparte brzuchem;

Skóra — czerwony pancerz; jabłko trzyma w pysku.

Tar, zbrojny wielkim nożem, gospodarczą bronią,

Rzuca się na warchlaka, kraje lewą dłonią.

«Daj» — woła Toldi, nóż mu ze śmiechem wydziera.

Puścił go Wawrzon, zezem na niego spoziera.

Wówczas — nie wiem — podszepty jakiegoś demona,

A może temu winna ta tokaju szklanka

Lub pamięć jakich uczuć dawno pogrzebiona —

Sprawily, że tak naraz powiada Różanka:

«Wawrzonie! jakąż dziwną bawisz nas zabawą?

Kosztem lewej oszczędzasz swoją rękę prawą.

Widziałam, jak prawica twa dzielnie wywija —

Jak to w czasie turnieju ostatnia kopija...»

Zachnął się Tar gwałtownie — i naprzemian błednie,

Aż bardziej poczerwieniał, niż warchlaka ciało;

Lewa ręka cisnęła się, by mimowiednie

Odeprzeć słowo w miejscu tem, skąd mu zabrzmiało.

Krew, co z ust niemal trysnąć chce w wzruszeniu żywym,

Zabarwiła kobietę swym nagłym dopływem,

On zaś stał w osłupieniu, na Różę patrząc,

I na Toldiego spojrział, nóż w ręku trzymając.

Ale wnet, jak kozica trwożna w lasu głębi,

Co widzi, jakie grożą jej niebezpieczeństwa,

Całym ciałem się pręży, do skoku się kłębi,

Wszystko jej zda się dobre — cieśnia, trzcina, gęstwa:

Tak on mknie ku najbliższym drzwiom (coś go wystrasza) —

Ku drzwiom, które nie wiedzą nigdzie, prócz poddasza;

Nie było stąd sposobu uciec ani rady —

Oknem skoczył w ulicę — czerwony i blady.

Jak dziki zwierz zatrzyma na swym łupie wzroki,

Chwilę czeka, a nozdrze mu drga, dyszą płuca,

Lecz gdy łup znów chce uciec, ten wnet za nim w skoki:

Tak za Tarem okrutny Toldi wskok się rzuca.

Lecz oto przed nim Róża staje wylękniona.

Za mężem swoim prosi jak najpiękniej żona.

Z miłością ciemnym okiem w Toldiego spogląda —

Złoży rączki i łaski dla Wawrzona żąda.

Miklosz na swoim łonie widzi gorejącem  
 Jej twarz — i gniew mu z serca niby mgła gdzieś pryska —  
 Jako czarna chmura zachodowem słońcem  
 Promienna, nagle w oku sam promieniami błyska.

Do serca to oblicze przyciska różane —  
 Przyciska swe rozkoszne niebo zakazane.  
 I tak ją pocałunków okrywa tysiącem  
 Bezpamiętnych i słowem wybucha gorącym.  
 «Pójdź» — szepce, ledwie dysząc. «Uchodźmy» — tak woła.  
 «Uchodźmy. Koń mój czeka. Siądziem na bachmata.  
 Wiatr ni słońce mojego nie znajdzie aniola.  
 Bronić się będę wobec wszystkich mocy świata».

Tak ocknie się Różanka z rozkoszy głębokiej,  
 Jak żuczek, co w miodowej upadł kadź patoki.  
 Cofa się lekko — patrzy w niego — błaga szczerze:  
 «Nad honorem kobiety czuwaj, bohaterze!»  
 I drży piękna niewiasta. Ach, krzyknąć nie może —  
 Nie lamentuje — znikąd pomocy nie woła,  
 Drży tylko, jako lilji kielich na jeziorze,  
 Zgadując, że oporu stawić mu nie zdoła.

Ale i w Toldim gorzka przemaga powinność.  
 Oto bezsilna przed nim szlachetna niewinność  
 Wzywa jego — rycerza — przeciw samej sobie,  
 By słabości jej nie chciał wyzyskać w tej dobie.  
 Teraz dopiero widzi rycerz ów zawzięty,  
 Nad jaką czarną grzechu przepaść szedł — niestety!  
 Że pomyśleć ohyda — bo to wstręt nad wstręty,  
 By fałszem złamać serce przezczystej kobiety.

Niech jego złamie los, niech strąci go w otchłanie,  
 Za życia niech go dreczą wszystkie piekiel szranki!  
 Niby zgrzyt — takie było jego pożegnanie:  
 Odszedł, by nigdy więcej nie widzieć Różanki.

.....

#### PO TRZYDZIESTU LATACH

(Pamięci Petöfiego)

Często, i dzisiaj nawet, nawiedzasz sny moje —  
 Ty, w śmierci osiwiasty, a obcy w spoczyniu:  
 Nie mógł cię naród osnuć w całunów zawoje,  
 Niepogrzebiony — zawsze obecny mi cieniu!

Gdybyśmy dziś wierzyli, jak Rzym albo Greci —  
 Tam, gdzieś padł, dziśby płonął ołtarz nieśmiertelny,  
 I oddawna na błękit wstąpiłbyś daleki,  
 Sam bóg — piłbyś wśród bogów nektar ich weselny.

Lecz pod nawałą czasu, co mija i rośnie,  
 A który nas osłabia — krzepnie twa potęga;  
 Z tego, coś dał nam, wszystko kwitnie w wiecznej wiosnie,  
 Z pokoleń w pokolenia duch twój pieśni sięga!

A ja, co żyłem długo duchem twym i ciałem,  
 Smutny jestem i gniewne nieraz rzucam słowa:  
 Czy serce twe moskiewskim przebite kindzałem —  
 Czy siekierą wołoską skrwawiona twa głowa?

## SĄD BOŻY

Ciemny radwański bór glucho drży —  
 Tam Benō Barczy umarły leży:  
 Ostry puginał w sercu mu tkwi.  
 Na Boga! Iście któż nie uwierzy,  
 Toż to zabójstwa ślad jawny, świeży!  
     Ojciec na zamek każe go nieść...  
     W samotnej, wielkiej kładą go sali —  
     I pokrwawiony leży dni sześć;  
     Ani go myli, ni przebiali,  
     Proste mu, twarde łoże ustali.  
 Halabardników poczwórna straż  
 Zamyka wszystkim wchód do komnaty.  
 Matka czy siostra, choć we łzach twarz,  
 Niechaj gdzie indziej płacze — zakaty!  
 Biada, kto chciałby przełamać czaty!  
     Kobiety w cichy skryły się kął  
     I gluszą żalność, co pierś im łzawi.  
     Ojciec pieczęcią na Boży sąd  
     Wzywa: zabójca niech się objawi!  
     Winny, przy którym rana się krwawi.  
 Zamek, kirami żaloby drżąc,  
 Zastłania złote południa słońce;  
 Nad ciałem stoi sędzia i ksiądz,  
 I czarne krzyże, i świece drżące,  
 Żółtawym blaskiem migotające...  
     — Niech przyjdą wrogi, gdy miał ich zmarły! —  
     I przyjdą, których ojciec pokaże.  
     Lecz żyły rany się nie otwały,  
     Nad Benōm wrogów mignęły twarze,  
     Żaden zabójcą się nie okaże.  
 — Któż więc morderca? Mówcie, przekłęci!  
 Czyżby z mojego był pokolenia?  
 On tu — i póki znak mej pieczęci  
 Nie napiętnuje zbójcy ramienia:  
 Na wszystkich żywych mam podejrzenia!  
     — Niech przyjdzie druhów gromada szczerą! —  
     Młodych rycerzy szereg wnet stawa,  
     Smutni widokiem krwi bohatera,  
     Co go nie bitwy porwała sława;  
     I przeszli: rana ciągle niekrwawa.  
 — Niechaj dwór cały i wiejski lud  
 Stanie nad trupem! — Idą ochoczo;  
 Przejdą kolejno — lecz próżny trud —  
 Na bohatera smutne łzy toczą —  
 Łzy żalnościwe krwi nie wytłoczą!  
     — Niech przyjdzie matka, siostra jedyna! —  
     Siostra ma w oku polysk cmentarny  
     Matka przypada z jękiem do syna,  
     Ale trup milczy na ten krzyk gwarny,  
     A w ranie krople suchej krwi czarnej.  
 — Niech jego luba wreszcie tu stanie,  
 Niech Abigiela zjawi się tkliwa! —  
 Zbliża się. Oko utkwiała w ranie —  
 Idzie bez ruchu, rzekłbyś, nieżywa...  
 I nagle — z rany krew mu wypływa!

Ona nie płacze, ona nie wzdycha —  
 Ale rękami skronie ugina.  
 Nastaje chwila straszliwie cicha,  
 I krew we wszystkich żyłach się ścina.  
 — Dziewczyno, tyś mi zabiła syna!  
 Ona, zaklęta niby przez czar,  
 Milczy i słucha — bełkoce: «Ha!  
 Jam nie zabiła, choć dla mnie zmarł.  
 Bóg mi i niebo świadectwo da,  
 Lecz jam ten sztylet dała mu — ja!  
 «Miał moje serce, dowody miał,  
 Że między nami raj zakwitł już,  
 Czemuż przysięgi ode mnie chciał?  
 — Gdy mi odmówisz, to śmierć mi wróż.  
 — Idź! i ze śmiechem dalaś mu nóż». —  
 I sztylet z rany dziko wyciska,  
 I ogniem płoną jej dwie źrenice,  
 Śmieje się, płacze, skrą noża błyska —  
 W szalonym skoku biegnie w ulice:  
 W zdumieniu widzi tłum latawiec.  
 I na gościniec biegnie, i w las —  
 Tańczy wesoło i śpiewa wlot:  
 «Była dziewczyna, hej, była raz,  
 Robiła chłopcom tysiące psot,  
 Igrała z nimi, jak z myszą kot!»

Tłum. Antoni Lange.

## EMERYK MADÁCH

(1823—1864)

### Z «TRAGEDJI CZŁOWIEKA»

(Londyn. Pomiędzy Towerem a Tamizą odbywa się jarmark. Adam, jako mąż w podeszłym wieku, stoi z Lucyferem na jednej z baszt zamczyska. Ma się ku wieczorowi.)

C h ó r:

*(rozpływający się we wrzawie tłumy; wtóruje mu zęcha muzyka)*

Szumia ciągle życia nurty,	Co fantazji, myśli głosem.
Fala każda — nowym światem.	Możesz, możesz dumać, roić;
Cóż ci szkodzi, jeśli jedna	Co wydumasz, zbiegnie w pianę...
W przepaść spada, druga zatem	Wiecznie morze z szumem pędzi
W górę idzie? To się trwożysz,	Twe prawidła mu nieznanne.
Że przypadnie jedność w tłumie,	Niechaj szumi: w fal rozterce
To znów mniemasz: na miliony	Sam wykreślisz granic cieśnię;
Śmiało natrzeć jedność umie.	Nie stracone nie jest w życiu,
Dzisiaj trwożysz się nauki,	Stare ciągle jest w powiciu —
Jutro znów poezji losem,	Tylko niech się wsłucha serce
A w systemów ciskasz ramy,	W życia cudną, wieszczą pieśnię!

A d a m:

Tak, oto cel mój — to mych pragnień meta!  
 Dotąd pustynnem szło życie bezdrożem,  
 A teraz w całej pełni wre przede mną.  
 Pieśń jego słyszę... jak piękna, rzeźwiąca!

L u c y f e r:

Piękna stąd — z góry... Jak kościelne hymny,  
 Których ton każdy źle wzięty, chrapliwy,

Każde westchnienie, każdy jęk boleści —  
 Nim uszu dojdzie, w zgodny akord spłynie.  
 I tak je słyszy Bóg, i mniema przeto,  
 Że dobrze świat ten stworzony — lecz wdole,  
 Tam, gdzie serc tętno do pieśni się łączy,  
 Słyszecyby można całe inne tony.

A d a m:

Ach, sam-że powiedz, szyderco wąpiący,  
 Czy świat ten nie jest piękniejszy od owych,  
 Przez które w mękach aż tu mię przywiodłeś?  
 Już się omszałe zwały zapory  
 I znikły groźne, straszliwe widziadła,  
 Co przez ponurą przeszłość, jak przekleństwo,  
 Przyszłości zwykle pozostają w spadku,  
 Z glorią świętości nad trupiami czoły.  
 Już pierś ma każda wolne walki pole,  
 Już niewolnicy piramid nie wznoszą.

Lucyfer:

I tam, w Egipcie, jęku niewolników  
 Tak bardzo słyhać nie było, a zato  
 Jego pomniki jak bosko wspaniałe!  
 Czyż lud ateński, ów lud wszechpotężny,  
 Nie miał słusności, nie pięknie postąpił,  
 Gdy chlubę kraju, ludu ulubieńca,  
 Dla ocalenia ojczyzny poświęcił?  
 Na wszystko patrzeć trzeba z tej wyżyny,  
 Gdzie płacz kobiecey ani żadne inne  
 Brednie i głupstwa nie mącą spokoju.

A d a m:

Przestań już, przestań, ty wieczny sofistol!

Lucyfer:

A jeśli, dajmy na to, znikł ból z ziemi,  
 To miejsce jego płaskość dziś zajmuje.  
 Gdzież owe szczyty, co ciągną ku sobie?  
 Gdzie głąb bezdenna, co trwogą przejmuje?  
 Gdzie dawna barwna różnorodność życia,  
 Gdzie zmienność jego, tak nęcąca mile?  
 Miast szalejących fal, wirów i piany,  
 Równia bagnista, wzdętych ropuch pełna.

A d a m:

Niezamącony dobrobyt powszechny  
 Wynagrodzeniem dostatecznym chyba?

Lucyfer:

Ze szczytu patrząc, sądzisz o tem życiu,  
 Co u stóp twoich gwarną szumi falą;  
 Tak jak o przeszłych zwykły sądzić wiekach  
 Dziejopisarskie bezwzględne wyroki.  
 Jęków nie słysząc ni schryplego krzyku,  
 Na wiecznotrwalej ksiąg swoich stronicy  
 Pieśni tylko przeszłych zapiszą stuleci.

A d a m:

Teraz i szatan jest już romantykiem  
Lub doktrynerem — a jedno, jak drugie,  
Dość osobliwy, zaprawdę, nabytek.

Lucyfer (*wskazując na mury zamezyska*):  
Nie w tem dziwnego, skoro na świat nowy  
Patrzymy z miejsca, które dzisiaj straszy  
Dawno już znikłej przeszłości upiorem.

A d a m:

Nie w smak mi zgniła, zmurszała podstawa;  
Ona powodem, że w świat zstąpię nowy —  
Niema obawy, abym w nurtach jego  
Nie mógł odnaleźć poezji i wielkich  
Czystych idei. Dzisiaj się już może  
Nie rwać nazewnątrz z tą pierwotną siłą,  
Na bój tytanów, w niebo szturmujący;  
Ale w szczuplejszym czynne wciąż zakresie  
Świat nowy tworzą, od dawnego miłszy  
I szczęściem hojniej ubłogosławiony.

Lucyfer:

O to ci wcale troszczyć się nie trzeba.  
Póki istnieje na świecie materja,  
Twa i moc moja — mistrzem jam negacji,  
A ta z materji wątek sporu snuje.  
Dopóki jedno ludzkie bije serce,  
Myśli mózg jeden, a porządku prawa  
Tamą się kładą dzikich żądź zamachom,  
Dopóty w świecie ducha trwa poezja,  
I myśl podniosła miejsce znajdzie sobie.  
Lecz powiedz, jaką postać przybrać mamy,  
W to gwarne ludu zstępując mrowisko?  
Bo w tej pozostać możemy tu tylko,  
Gdzie nas romantyzm przeszłości ocienia.

A d a m:

A której, dzięki losom, nie nie wskrzesi!  
By się przekonać, co lud myśli, czuje,  
Trzeba nam zstąpić do warstwy najniższej,  
Pomiędzy gminu niezliczone tłumy.

(Obydwaj wchodzą do wnętrza zamezyska i, przebrani za robotników, wychodzą jedną z bram, i giną w snującym się tłumie.)

*Tłum. Teresa Prażmowska.*

MAURYCY JÓKAI

(1825—1904)

Z «DZIWNYCH HISTORYJ»

S z a c h y

Za panowania Maurów żył w Kordowie pobożny mąż, z uczoności i miłosierdzia znany dobrze zarówno Hiszpanom, jak i Arabom. Nazwisko jego brzmiało: Don Hurtado Garcias Ecequias Eleazaro de Estalimena el Senordo Beneficentissimo albo, jak go powszechnie zwano: Alabadas Sea Dios (Bóg zapłać). To nazwisko słyszał najczęściej, nie było bowiem dnia, w którymby komuś potrzebującemu nie udzielił pomocy.

Ale nie wyrzucał pieniędzy przez okno; przy udzielaniu wsparć postępował z wielką roztropnością. W Kordowie na dwieście tysięcy mieszkańców było dwadzieścia tysięcy żebraków ulicznych. Don Hurtado wyszukiwał takich, którzy wsparcia rzeczywiście potrzebowali; a jeżeli w ten sposób jednemu prawdziwie biednemu pomógł na czas dłuższy, to uczynił roztropniej, niż gdyby setce pomógł na dzień jeden.

Ponieważ jednak własne jego dochody na owe miłosierne uczynki nie wystarczały, przeto wyszukiwał rozproszonych po kraju bogaczy. Miał on katalog, w którym figurowali wszyscy okoliczni grandowie, hidalgowie i caballeros wraz z sumą przypuszczalnych dochodów. Panów tych Don Hurtado kolejno od czasu do czasu odwiedzał i domagał się regularnie rocznego haraczu. Bano się go też więcej niż Maurów.

«Don Esteban, słyszałem, żeś dostał dziesięć tysięcy realów. Wspomnij o tych, którzy nie mają!»

«Tak, to prawda; dostałem dziesięć tysięcy realów, ale z tych przegrałem dwa w walce byków».

«Któż je wygrał?»

«Don Gedonio i Don Cristobal».

«Jeśli w walce byków możesz przegrać dwa tysiące realów, to dwieście dać na biednych nie będzie ci żadną ofiarą».

Don Esteban płacił z kwaśną miną.

Teraz przyszła kolej na Don Gedonia i Don Cristobala.

«Panowie, wygraliście dwa tysiące realów; Don Esteban, który je przegrał, dał już dwieście realów; jest więc rzeczą słuszną i godziwą, aby ci, którzy je wygrali, dali dwa razy tyle».

Don Gedonio i Don Cristobal płacili, drapiąc się w głowę.

Don Ambrosio słynie ze skąpstwa. Właśnie spożywa wieczerzę: czarną rzepę z chlebem, gdy zjawia się Don Hurtado i żąda podatku dla ubogich.

«Widzisz, Wasza Signoria, że ja sam jem na wieczerzę czarną rzepę z chlebem».

«Właśnie dlatego, że na nic więcej pieniędzy nie wydajesz, zostaje ci wiele. Możesz najlepiej zrozumieć, jak smutną jest rzeczą jeść na wieczerzę czarną rzepę z chlebem, chociaż się ma pieniądze; o ileż więc musi być smutniejszą rzeczą, jeśli się musi tak czynić. Zresztą jest w tem twój własny interes, abyś dał na ubogich. Bo jeżeli to uczynisz, to oni będą mogli zostać uczciwymi ludźmi, a jeżeli nie, to zrobią się z nich złodzieje i mordercy. A na kogoż najpierw napadną? Na ciebie! A więc daj tu szybko pięćdziesiąt pesos, a potem jedź sobie przez miesiąc chleb bez rzepey». — —

Od czasu do czasu urządzał Don Hurtado podróże po Hiszpanji, po znacznie-szych miastach, i zawsze wracał z obfitym plonem. Raz rozpoczął na nowo swą podróż. Spokojnie jadąc sobie na mule lasem nad brzegiem rzeki Guadalquivir, spostrzegł Araba, który siedział na środku drogi i grał z samym sobą w szachy.

Jak wiadomo, nie się tak bardzo nie sprzeciwia zdrowemu rozsądkowi, jak grać w szachy z samym sobą. Don Hurtado, zdziwiony, wstrzymał swego wierzchowca i dłuższy czas przypatrywał się zajęciu Araba. Ten zatopiony był w grze, namyślał się długo, zanim zrobił jedno posunięcie, i wogóle zdawał się być partją niezmiernie zajęty. Wreszcie Don Hurtado nie mógł już dłużej wytrzymać i zapytał:

«Kto jest twym ojcem, wyznawco proroka?»

Arab zrobił posunięcie i odpowiedział z powagą:

«Ojcem moim Ben-Mutassem, a ja nazywam się Abu Rizlan, jeżeli chcesz to wiedzieć, pocziwy giaurze».

«Co tu robisz, dobry Abu Rizlanie, synu Ben-Mutassema?»

«Gram w szachy, jak widzisz».

«Tak sam jeden?»

«Ja nie jestem sam».

«Któż więc drugi?»

«Ten, który jest wszędzie, jedyny Pan, wielki Allah».

«To wcale potężnego masz przeciwnika».

«W każdym razie sprawiedliwego».

«A któż teraz wygra?»

«Prawdopodobnie ja przegram. Wszak mam słuszność? Jeszcze jeden ruch i mat. Dziś już grać nie mogę».

«Czemu?»

«Przegrałem wszystkie pieniądze».

«Więc grasz z Allahem o pieniądze?»

«Nieinaczej. W tej partji przegrałem pięćdziesiąt sztuk złota».

«Jakże je Allahowi zapłacisz?»

«Zwykle, gdy przegrywam, zsyła mi Allah jakiego poczciwego, pobożnego męża, który przegraną sumę ode mnie bierze i rozdaje ubogim. To tyle znaczy, jakgdybym je dał Allahowi. Dziś wierzę, żeś ty zesłany przez Allaha; weź więc te pięćdziesiąt sztuk złota i rozdziel między ubogich».

Niezmiernie ucieszony Don Hurtado pomyślał sobie, że przecież taka gra w szachy to wcale budująca przyjemność. To też, kiedy po wielu długich podróżach wzdłuż i wszerz Hiszpanji wracał tą samą drogą do Kordowy, nie zapomniał odwiedzić pobożnego Araba i zapytać się, czy od tego czasu nie przegrał znowu.

Rzeczywiście spotkał go, jak siedział na środku drogi i z największą uwagą grał w szachy.

Stał przy nim i czekał, aż się partja skończy.

«Czy i dzisiaj przegrałeś, Abu Rizlanie?»

«Dziś nie; dziś uśmiecha mi się szczęście. Jeszcze jedno posunięcie i Allah ma mata».

«Bardzo dobrze. Dzisiaj więc wygrałeś?»

«Tak; wygrałem od Allaha pięćset sztuk złota».

«Któż ci tę sumę teraz zapłaci?»

«Zwykle, gdy Allah przegra, zsyła mi jakiego poczciwego, pobożnego męża, który mi wygraną sumę płaci. Dziś wierzę, żeś ty zesłany przez Allaha, aby mi zapłacić pięćset sztuk złota».

Przy tych słowach poczciwy Arab skierował pistolet ku piersiom przerażonego Don Hurtada, który mu z kwaśną miną podał swój worek.

«Alabadasie Sea Dios», rzekł Arab, odliczywszy pieniądze i oddawszy mu worek.

«Abu Rizlanie, synu Ben-Mutassema, mnie Allah do ciebie już nigdy po odbiór wygranej nie przyśle!».

*Thum. S. D.*

## KOLOMAN TÓTH

(1831—1881)

### MATKA POLKA

Czterech pięknych synów miała matka Polka,  
A wszyscy byli wyborowymi rycerzami,  
Śród ptaków — sokoły, w lesie gałęzie sosny:  
Z dumą patrzyła na nich dobra matka;  
Ale pewnego dnia wypuściła ich wszystkich czterech,  
A gdy ich żegnała, kropla łzy nie trysła z jej oka.

Średniego syna rychło otrzymała zpowrotem —  
Ach, być może i nie on to: tyle na nim było ran.  
Kulą postrzelony gołąb nie bardziej od niego skrwawiony.  
Układają go w białe miękkie łoże.  
Dziś na miękkim łożu, jutro na cmentarzu —  
I droga matka nie płacze, dumnie za nim kroczy.

Most zwodzony dudni, pochodnia płonie —  
Otóż i drugi: włosy krwią mu spływają.  
Temu łoża już nie trzeba, ten już umarły —  
Towarzyszy mu też, milcząc, szlachetna matka.  
Tylko w oku tłumiona, drżąca łza błyska —  
Toć ten był najmłodszy i najukochańszy.

A oto którejs nocy wnoszą trzeciego —  
 Och, tylko z twarzy nie zdejmujcie całuna,  
 By nie ujrzyć okropności, co się z nim zdarzyła:  
 Nie kula go trafiła, ale ręka katal  
 Przecież i temu towarzyszy dobra matka,  
 Dumna, zacięta, zdrętwiała: nic jej nie porusza.

Aliści czwarty przybywa nie nocą; ten się nie lęka.  
 Na ramieniu złota frendzla, gwiazda na piersi!  
 Gdzież on to zdobył? Nie tam, gdzie znaleźć można śmierć!  
 «Zdrajcą jesteś ojczyźnie, braciom i samemu sobie!  
 Do synów mych chcę iść! Zabija mnie ta gwiazda na piersi!»  
 I ponieśli ją, złożyli obok tamtych synów.

*Tłum. Bolesława Jaroszewska.*

## JÓZEF KISS

(1843—1921)

### JUDYTA

Nieszczęsny był żyd Szymon — przez wiele, wiele lat  
 Trumienkę małą czarną rok w rok na mary kładł...  
 Trumienkę taką małą — trzy piędzi ledwo wzdłuż —  
 Dziś rodził się robaczek... nazajutrz konał już.

Nad złoto był cenniejszy Judyty kruczy włos:  
 Rozplata go ze łkaniem, zawodząc na swój los,  
 Nożyce ostre chwyta i bez namysłu tnie —  
 I przed rabinem siwym w noc późną zjawia się.

«Mój kruczy włos sławiono... oto go masz u stóp!  
 Wielbiono moją piękność — czyż ją poniosę w grób?  
 O, rabi! wszak Jehowa dał wieszczę tobie wzrok...  
 Kiedyż rozjaśni dziecię mojego życia mrok?»

Uczony mąż źrenice od świętych wznosi ksiąg  
 I topi w twarz Judyty. Ta wiję się śród mąk...  
 «Dziś pragniesz mieć dziecinę — czyż zawsze było tak?  
 Toż twego niewiniątka pierworodnego brak!»

Judyta lica, bledsze nad górskich szczytów śnieg,  
 Przysłania drżącą ręką i kryje w szaty brzeg.  
 I szłocha, i belkoce, a łkanie pierś jej rwie —  
 Zdławionym szepce głosem: «Jam zadusiła je!

«Mnie uwiódł jego ojciec, na pastwę nędzy dał...  
 Jam była słabem dzieckiem... Noc... wrzący uścisk... szal...  
 Szyderstwa, hańby bojaźni... o, maro strasznych dni!  
 Ach, czemuż wtedy serce z bólu nie pękło mi!»

Starzec przewraca karty odwiecznych świętych ksiąg,  
 W milczeniu kary szuka za czyn zbrodniczych rąk.

«Powstań, Judyto, powstań! Pokutne szaty złóż!  
 Czyż pozór nie oczyści skalanych zbrodnią dusz.  
 Judyto! cięższa kara za twój przystoi czyn.  
 Czy zniesiesz ty pokutę dla odkupienia win?  
 Judyto! zaród śmierci w twym pocałunku tkwi...  
 Gdy będziesz matką — dziecię całować wzbraniam ci!

Idź — i samotny żywot z cierpienia snuj i lez...  
W weselnym dniu dziecięcia twej kary będzie kres! —

Żyd Szymon znów jest ojcem. Lśni mnogich świateł żar...  
W domu, jak w dniu weselnym, uciecha wre i gwar;  
Dziękczynne psalmy ojciec ku czci Jehowie śle,  
Matka rzewnemi łzami raz wraz zalewa się.  
Do piersi tuli dziecię, nie wypuszczając z rąk,  
I pragnie pocałunku — i wije się śród rąk.

Ponad Szymona domem znów wrogi cięży los:  
Poosłaniac okna — płacz — przyciszony głos.  
Judyta ręce łamie — łzy wyplakała już...  
«Znów dziecię mi odbierasz, o Paniel wzrusz się... wzrusz!»

«O matko, droga matko, ach! jakież rwie mnie ból!  
Ucałuj mnie, o matko! do ust mych usta tull!»

«Ucisz się, moje dziecię, nie wolno mi... ach... nie!»  
(«O, Panie miłosierny, czemu tak nękasz mnie?»)

«O matko, droga matko!... o, wiem ja dobrze, wiem,  
Że lękasz się gorączki, płonącej w łonie mem!»

Zbladł Szymon, z błędnych źrenic błysnęły gniewu skry...  
«Judyto! niegodziwą nędznicą jesteś ty!  
Tak! nieraz zadawałem językom ludzkim kłam —  
Błądziłem, nie chcąc wierzyć... dziś — oto widzę sam!  
Zła matka dobrą żoną nie może nigdy być!  
Judyto! precz mi z oczu!... precz z mego domu idź!»

Za rokiem rok upływa... szeregi biegną lat.  
Na smutny dom Szymona znów uśmiech szczęścia padł.  
Baldachim na podwórzu — w krąg ciżba gości... gmin...  
Szymona córę bierze Natan, sąsiadów syn.  
Wmieszana w tłum żebraczka, w osłonie nędznych szmat,  
Podąża, potrącana, w oblubienicy ślad.  
Wskroś ciżbę się przedziera, błaganie pierś jej rwie:  
«Pozwólcieź mi ją ujrzeć, o ludzie! puście mnie!»  
Już przysięgają. Wkoło błagalny toczy wzrok...  
Już chazen pieśni zawodzi... «O ludzie!... jeszcze krok!  
Wszak to moje dziecko! O córko! dziś twój ślub!»  
Całuje ją — i martwa upada jej do stóp. —

Weselny dzień dla matki był kresem ciężkich prób.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

MICHAŁ SZABOLCSKA

(ur. 1862)

W GRAND CAFÉ

...Muzyka węgierska zawodzi —  
Gra o północnej godzinie,  
W obcej, dalekiej krainie —  
W przepychu i świateł powodzi  
Modnej kawiarni Paryża —  
Paryża!

Smutku, tęsknoty w grze — tyle!  
Muzyko, ty serce masz pewnie,  
Że opowiadasz tak rzewn  
Naiwne rozrywki chwile,  
Co cieszą w Kondorosz juhasów —  
Juhasów!

I, zda się, światła tej sali  
 To raczej pastusze ogniska —  
 Tłum strojny się z trudem przeciska,  
 Przypływa, odpływa w kształt fali,  
 Nie słysząc tej sielskiej melodji —  
 Melodji.

Tłum strojny bawi się, burzy,  
 Szaleje, muzykę zagłusza,  
 A grajkom z strun zrywa się dusza —  
 Wdal płynąc, gdzie pośród wzgórzy  
 Pasą się owce z csardy —  
 Z csardy.

*Tłum. Marjan Tatarkiewicz.*

### ANDRZEJ ADY

(1877—1919)

#### BIAŁA PANI

Jest zamkiem starym moja dusza —  
 Pańska i głucha, i ciemna tak.  
 (Nieprawdaż, wielkie są me oczy?  
 Lecz blasku im, lecz światła brak!)

Tu wiecznie się błakają duchy,  
 Czuć tchnienie krypt, stęchlizny woń,  
 Skroś mgłę skowyczą potępiency,  
 Omackiem grobu szuka dłoń.

Tętnią tu sale opuszczone,  
 Z posepnych murów w zieleń łąk  
 Wpatrują się dwa ciemne okna —  
 (Znużone oczy są od mąk.)

(I czasem tylko w nocie tajne  
 W tem mętnem oku płonie blask.)  
 Po zamku chodzi biała pani,  
 I z okna brzmi jej śmiechu trzask.

#### JESIENIA

W południe jesienią trudno tak  
 Ze śmiechem dziewczętom skinać;

Tak trudno jest w jesienną noc  
 Ku gwiazd błyskotom popłynąć;

Tak łatwo w ten jesienny czas  
 Ze łkaniem wdół się chynać.

*Tłum. Alfred Tom.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*